



Marzec 1898.

Uczcie dzieci czytać i pisać po polsku!

Rocznik XIII.

## SKARB ZAKOPANY.

Miał jeden bogacz dużo pieniędzy...  
Z też pono braci robił dukaty;  
A kiedy marli naokół w nędzy,  
Jemu przyrastał worek pekaty.  
Jako nietoperz do ciemnej ściany,  
Tak on się do swej skrzyni przylepiał;  
A gdy świat tonął łzami zalany,  
On wzrok z umysłu na to zaślepiął,  
I na pociechę szedł do komory  
Śmiać się do złota i liczyć wory.

Utracił żonę, lecz łaska boża!  
Po biednej matce zostało dziatek;  
Każde tam rośło jak dziki kwiatek,  
Wiatrem zagnany w ciemne bezdroża.  
Wzrosły jak młode wilzki na polu,  
Nie dbał, umiejał ojców pacierze?  
A kiedy które kwiliło w bólu,  
On tak się nad nim łtował szczerze,  
Ze szedł co prędzej w ciemne komory  
Śmiać się do złota i liczyć wory.

Miał on służących, co krwawym potem  
Dopomagali w doli i roli,  
Co pracowali nad jego złotem,  
A sami prawie chodzili goli;  
I gdy czas służby mijał na gody,  
Każdemu ujął z rocznej zapłaty,  
Dejąc sumienia swego dowody.  
Za trzy skrzywdzonych, poszedł dukaty,  
Mierzyć, ukryty w cieniach komory,  
Śmiać się do złota i liczyć wory.

Miał i strapienie w takim istnieniu,  
Miał swoje mole, jak każdy w świecie,  
Gdy kamień wspomnień pierś podją gniecie,

Lub kiedy robak wierci w sumieniu.  
Lecz zamiast za krzyże Bogu dziękować,  
Prosić o ulgę w czarnej niedoli,  
On szedł się z skarbem drogim lubować,  
Pozbywał z serca dręczących moli,  
I szukać ulgi w cieniach komory,  
Śmiać się do złota i liczyć wory.

Nie jemu śliczne słonko w błękiecie,  
Ni te anielstkie gwiazdek oczęta,  
Nie jemu rosa z drzewin zwiśnięta;  
Jego przy skrzyni żelaznej życie,  
Jemu Dom Boży nie grał organem,  
Nie jemu przyjszł z ludem kochanym.  
Gdy dłoń wyciągnął żebrak z maraszczkami,  
On tak się wzruszył jego modłami,  
Ze poszedł wzdychać w cieniach komory,  
I jak różańce przeliczać wory.

Cóż? wszak nie wieczne chciwcowi życia.  
Postyszał śmierci skrzydła złowrogie,  
Już i zajrzała mu w oczy skrycie.  
Ach! te pieniądze, pieniądze drogie!  
Co robić?.. zwlec się z toła czworakiem,  
Wkopać skarb nocą cicho, w ogrodzie,  
By go kto nie skradł czasem w przechodzie,  
A kiedy konał wielkim biedakiem,  
Żałował z skruchą, że śród komory  
Śmierć mu już nie da przeliczać wory.

\* \* \*

Umarł.. a wkoło o nim prawili,  
Ze dopatrzone nieraz w przechodzie,  
Jak co noc błdzi duch po ogrodzie,  
Szukając czegoś jak dziecko kwili.  
Jak żebrak głodny w niebogłos błaga,  
Jak do nóg pada czeladka naga,  
Jako się przed nim palą pieniądze,  
Niby to jego przedśmiertne żądze,



Kiedy to milczkiem w cieniach komory  
Śmiał się do złota i liczył wory.  
Jednak gdy pierwsze kury zapały,  
Z ciężkimi jęki znikął duch biały.  
Mówiono więcej: że z śmiercią jego  
Ogród nie kwitnie kwieciami majowym,  
Że drzewa uschły co do jednego,  
Owoc nie pałał licem różowym.  
Długo tak było; aż ktoś roztropny  
W strachy niebardzo wierzyć pochopny,  
Rozległy ogród ją kopać cały,  
I dobył na wierzch kruszec spleśniały.  
Już dzieci chciwca rzuciły ziemię,  
Więc tak dzielono pieniężne brzemie:  
Jedna część poszła na Bożą chwałę,  
By za nią kościół we wsi stawili,  
Bo go nie było aż do tej chwili,  
Drugą część dano między głodniałe,  
A z reszty szkółkę wybudowano,  
By się uczyły wieśniacze dzieci:  
Ozemu to wszystkim słoneczko świeci;  
By pacholetom zrozumieć dano,  
Co się na Bożym tym światku dzieje,  
Jakie to ludów zmarłych koleje,  
Jak się to bratnim spajać łańcuchem,  
By się ku Bogu podnosić duchem.  
Gdy tak zrobiono, skwitł ogród w jarze,\*  
I znikły gadki o nocnej marze.

\* \* \*

Taką nam ojciec podają powieść;  
Cudnych z niej rzeczy możnaby dowieść.  
Zakopał, prawda... uschły drzewiny,  
Znikły owoce, powiedły liście,  
A duch z brzemieniem przedśmiertniej winy  
Ślaniać się musiał w ciężkim cierpieniu!  
Przy łzach u ludzi i złorzeczeniu  
Pękła myśl, bracia! bo rzeczywiście  
Ogród zwiednięty, to brzydkie życie,  
Drzewa szkielety, to czyny człeka,  
Który owoców dobrych nie zrodził;  
A nocna mara cierpiąca skrycie,  
To pamięć, jaka każdego czeka,  
Kto w tradzie skąpstwa na ziemi chodził,  
Kto skarb ludzkości trzymał w ukryciu,  
Nie znał, co szczęście bratnie, cierpienie;  
Za to mu pieniąż, jeszcze w tem życiu  
Pali zgryzotą czarne sumienie.



## Dziesięcioro przykazań wychowania katolickiego.

(Dokończenie).

### Przekleństwo i błogosławieństwo.

Zanim was, kochani rodzice, pożegnám, raz jeszcze pozwólcie, że zasady katolickiego wychowania dzieci, które wam przedłożyłem, z grubszego powtórzę, ażeby wam w końcu dobre albo złe skutki przypomnieć jakie ich zastosowanie, albo ich pominięcie koniecznie za sobą pociąga.

Ażebyście je zaś sobie tam łatwiej i głębiej w pamięci wyryli, podam je wam we formie

\*) Jar znaczący wiosną.

### dziesięcioro przykazań,

nad którymi się częściej zastanówcie, i z nich zwłaszcza przy rachunku sumienia przed św. spowiedzią korzystajcie:

1. Pouczajcie dzieci wasze wedle sił we wszystkim, co dla wiecznego i doczesnego ich szczęścia jest im potrzebne i pożyteczne, i to nie tylko przed ale i po latach szkolnych.

2. Wykorzeniajcie z nich miłość własną, to źródło wielu bardzo grzechów, przez zewnętrzne zahartowanie, a wewnętrzne umartwienie, przez przyzwyczajenie ich do wstrzemięźliwości i umiarkowania w używaniu przyjemności.

3. Badajcie i zwalczajcie pilnie ich złe skłonności, a zwłaszcza główną skłonność, bo inaczej wszelkie wasze zabiegi daremne.

4. Pielęgnujcie natomiast ich dobre skłonności, zwłaszcza prawdomówność, wstydlivość i religijność.

5. Czuwajcie pilnie w domu i po za domem nad małoletnimi, więcej jeszcze nad dorosłymi dziećmi waszemi, ażeby złemu przykładowi, złemu towarzystwu i niebezpiecznym sposobnościom nie pozwoliły się uwieść.

6. Żądajcie od nich posłuszeństwa bezwarunkowego, ale ułatwajcie im takowe zachowaniem, szacunkiem wzbudzającym i uprzejmością.

7. Nagradzajcie, gdzie tego dla zachęty potrzeba, ale też karzcie, jeśli poprawa nie nastąpi, sprawiedliwie, ogłędnie i po ojcowsku.

8. Zwalczajcie wszelkie złe, a przyzwyczajajcie do wszelkiego dobrego wcześniej, pomni na to, że pierwsze sześć lat są we wychowaniu najważniejszymi.

9. Nie działajcie nigdy samowolnie, niezgodnie, opieszale i kapryśnie ale sumiennie, z harmonijną zgodnością, gorliwością i zawsze równą wytrwałością.

10. Przy wyborze szkoły patrzcie przede wszystkim na wiarę i bogobojęność nauczyciela. Dla nauczyciela według waszej myśli i zasługującego na wasze zaufanie zachowajcie zawsze uszanowanie i miłość, a popierajcie jego pracę i wszelkie dobre zabiegi.

A teraz kochani rodzice, w imieniu i słowy Bożemi tak się do was odzywam: „Oto kładę przed oczy wasze dziś błogosławieństwo: jeśli posłuszni będziecie przykazaniu Pana Boga waszego; przekleństwo: jeśli zstąpicie z drogi, którą wam okazał.“ (V. Moj. II. 26.)

Błogosławieństwo lub przekleństwo najpierw nad dziećmi waszemi! Przypatrzcie się onemu wyrostkowi, który krzyżem jest dla swych nauczycieli, tarczą szderstwa dla swych towarzyszy, a przedmiotem odrzy dla wszystkich dorosłych; onemu młodzieńcowi, którego widzisz na czele wszystkich burd ulicznych, którego nazwisko przy wszystkich prawie słyszysz niecznych sprawkach, którego namiętności przedwcześnie wysuszyły, którego młody żywot robak śmierci już dawno podgryza, którego złe sumienie z miejsca na miejsce, od jednego do drugiego przerzuca zawodu, który mimo liczne nakłady i zabiegi do niczego doprowadzić nie może, którego wszyscy uczeni omijają, a którego znajdziesz zawsze w towarzystwie oślawionych łotrów; przypatrz się onemu mężczyźnie, który żyje z niesprawiedliwości, który się stał pośmiewiskiem młodzieży ulicznej, a ciężarem gminie, który z własnej winy godny wiecznie żywot, a umierając, przeklina godzinę narodzenia swego; onej duszy, która z wolnego dziecięcia Bożego stała się niewolnicą szatana, z jasnej świętyni Ducha św. w ciemną przemieniła się jaskinię



dzikich namietności i chuci, która występami zbrukana, wiezie żywot bez łaski, żywot, kończący się ostatecznie śmiercią wieczną: przypatrz się onym lichym synom i córkom Kaina i Helego, onemu faryzejskiemu plemieniu jaszczurczemu, tej prawdziwej zakale ludzkości, o której nam przeszłość opowiada, a z której terazniejszość się gorszy; czem są i czem byli, to zawdzięczają po największej części złemu wychowaniu. Straszna to myśl dla rodziców, że stali się przyczyną nieszczęścia dla duszy i ciała takiego człowieka, zwłaszcza, kiedy wspomną, że sama natura wiekami miłości do niego ich przykuła! Ale jakież znów błogie dla serca rodzicielskiego uczucie, jeśli sobie syny i córki wychowali, na których czole piętno prawdziwego jaśnieje podobieństwa Bożego, w których oku enoty promień błyszczy, na których uśmiechach igra powab prawdziwej pobożności, którzy na łonie Boga sami szczęśliwymi się czując, uszczęśliwiają wszystkich, co się do nich zbliżają; którzy żyją zadowoleni owocem pilnych rąk swoich, a umierają w słodkim wspomnieniu uczciwie przepędzonej młodości, otoczeni szacunkiem i miłością aż do grobu samego; którzy ową białą sukienkę, jaką na chrzcie św. odebrali, aż przed tron Sędziego sprawiedliwego nieskalaną zanoszą, a w niebieskie przybrani korony, stoją po prawicy Stwórcy swego, nucąc hymn Jego chwały i pieśń dziękczynienia za łaskę, jaką odebrali w swych dobrych rodzicach! Dobry i pobożny człowiek, jakże to widok cudowny dla nieba i ziemi! Taki Set, taki Józef Egipski, Tobiasz, Jan Chrzciel, Alojzy, taki Święty naszego kościoła katolickiego! Nie zapominaj więc nigdy o tem: dobre głównie wychowanie wiecznie i docześnie człowieka jedynie uszczęśliwić może!

## MĘCZENNICZY CHIŃSCY.

PRZEZ KSIĘDZA A. W.

(Dokończenie).

VI.

Skuty i po całym ciele ranami okryty siedział Michał w samotnem więzieniu, nie mogąc długo, długo wskutek ran i bólu zasnąć. Właśnie myślał o swej rodzinie i modlił się za nią, aby po śmierci jego nie zmarniała. Gdy natura wreszcie domagając się swych praw po długim czuwaniu, bo dotąd rany nie pozwołyły mu zasnąć, skleiła mu powieki i zasnął głęboko. We śnie widział bladą, wynędzniałą chorą żonę na lichem podartem pościeli szmatami okrytą; widział, jak córka podawała jej drewniane naczynie z wodą, które w gorączce co tchu do dna wychyliła. Zmarłe niemowlę leżało tuż obok chorej. Dwaj drudzy malce, istne obrazy nędzy i politowania, otaczali konającą mówiąc: „matko, daj trochę ryżu, żebyśmy z głodu nie pomarli!” Dwóch zaś dzikich mężów z trzcina bambusową wpadło do chaty, by wypędzić z niej mieszkających. Na ten widok wstrząsł się konwulsyjnie Michał, kajdany zabrzękły, ocucił się i zawołał:

— Ojciec wdów i sierót, spraw to miłościwie, niech ten sen się nie spełni.

W tem wchodzi Michała małżonka z czerstwą dzieciną na ręku.

— Witam Cię, Michał — rzekła — ty chlubo i zaszczyście dzieł moich. Ziemia podziwia twe męż-

two, a niebo wpisuje czyny twoje w księgę żywota. Bądź pozdrowiony dzielny wojowniku! Zwyciężyłeś, a teraz jesteś w zaszczytnem więzieniu. Przychodzę rany twoje opatrzyć i otrzeć pot z czoła twego, w gorącej wylany walcę i oczyścić twe szaty z kurzu, co w krwawej je zaległ potyczce. Wszak prawda, że byłś krwawy i straszny?

— Witam cię droga niewiasto, — odpowiedział małżonek, — witam cię tak mówiącą. Pan Jezus ulżył mi w walce; rany w jego bitwach nabyte bynajmniej nie boją. Jesteś walezną bohaterką, witam Cię. — Tak mówiąc podał jej rękę, a niemowlę przytulił do serca.

— Jak się ma nasza dziatwa? Czy smutna, że ojca w domu nie ma? — zapytał dalej Michał.

— Wszystko zdrowe i cieszy się, że ma ojca, bohatera. Każe cię pozdrowić, prosząc zarazem za mną, abys nie puszczał z rąk korony, którą już dzierzysz. Ona godne takiego ojca, — odpowiedziała matka.

— Ach błogo i słodko mi, że moi takiego są zdania. To najlepszy balsam na moje rany, bo jeśliby jeszcze co do tego życia mnie wiązać miało, to chyba tylko kłopot i piecza o was.

— Zrzuć ten kamień z serca. Nie kłopot się o nas. Jestem młoda i krzepka, pracować potrafię. Bogatych mam krewnych, co nas nie opuszczą. Nasze dzieci dorastają, jak piękne młode drzewka, kiedyś skąpiec owocu nie będą dla matki. Wychowam ich na chrześcian, jak nas ci dobrzy Ojcowie ze Zachodu nauczyl, a ty z lubością spoglądać będziesz na nich z nieba. A choć ciałem będziem rozłączeni, to miłość twoja jednak z nami zawsze pozostanie. A jeśli rąk twych zabraknie, to twoja modlitwa towarzyszyć nam będzie. A jeśli już nie będzie ciebie u nas, to będziesz u Odwiecznego, na którego oblicze spoglądać i dla nas miłosierdzia błagać będziesz.

Słowa te rozpromieniły twarz małżonka. Teraz szlachetna żona opatrzyła mu rany, tamując nie jedno westchnienie w sercu, nie jedną łzę w oku.

— Ale, droga, nie będziesz rozpaczala, gdy się uczujesz samotną, osieroconą? — zapytał mile Michał.

— Mam w Bogu nadzieję, — rzecze wielkiego serca małżonka nieco się zającując, — że Ten Ojciec niebieski dopomoże mi i tę najdroższą ponieść ofiarę. — A dalej mówiła krzepiąc się na duchu: — udaję się często do Matki Bolesnej, stawam pod krzyżem Jej Syna, a zdaje mi się, jakoby On mił ściwie na mnie spoglądał i szukał drugiego Jana, któremu by mnie poruczył.

— A więc ostatni kłopot spadł z serca mego. Żono, słowa twoje brzmią jak słodka harmonia, jak pienia słowika lub hymn kapłanów w domu bożym. Ty niweczysz wszelki kłopot. Teraz mi droższą i miłszą jesteś, niż w dniu zaręczyn gdy mi rodzic twój rękę podał, gdyś stała obok mnie w wiosnie życia twego, gdy cię jedwabie i pierścienie z drogiemi kamieniami zdobiły. Bądź zdrowa! Miecz przetnie węzeł małżeński, ale by węzeł miłości przeciąć, na to za tępy. Zobaczym się w piękniejszych stronach gdzie niema ni dybów, ni knutów, kajdan, ni miecza, i to nie za długo! Wychowuj dziatki nasze dla nieba, tam znów wszyscy mieszkać będziemy. Bądź zdrowa!

Z zupełną rezygnacją ściskając mu dłoń odpowie czuła i wierna małżonka:

— Bądź zdrow, w niebie się zobaczym.

Michał uścił jeszcze raz niemowlę, pobłogosławił je i oddał matce. Ta zaś prędko się oddala, a be-



dąc po za bramą siada na kamieniu i tu dopiero rzuca łyżę. Po'em odwiedziła ojca, dodawała mu otuchy, oświecała łyżę, ucałowała ręce i otrzymała jego błogosławieństwo.

## VII.

Sędzia zwątpiwszy, żeby w ogóle jakimkolwiek sposobem coś wymóżyć można na bohaterach, wydał wyrok śmierci, który król niebawem potwierdził, bo Munch-Munch podobien do tygrysa, który tem więcej ofiar pragnie, im więcej krwi widzi. Skoro tylko męczennicy o tem się dowiedzieli, ucieszyli się wielce, że wnet się skończy ich walka.

Anamicki kapłan sobie sam hymn śmierci wygłosił, tak mówiąc:

— Zawitaj ostry mieczu! Chcesz być moim wrogiem, a jesteś moim prawdziwym przyjacielem. Ty mnie chcesz zaślubić ze śmiercią, a dajesz mi w małżeństwo żywota! Rozcinasz węzły ziemskie, abym mógł zawrzeć niebieskie. Ty ścinasz kwiat, co padając rzuca w ziemię ziarno, z którego drugi kwiat daleko wapniałszy zakwitnie w barwy tęczy i szmaragdów. Takie kwiaty rosną w mego Ojca Niebieskiego ogrodzie. Zawitaj mieczu, witaj ostry mieczu! Słodziłem jak chłopczyzna wijąc sobie z kwiatków wieniec, spozierając na ziemię i szukając ich, a ty mi je ścinasz ostrzem twym wskazując ku niebu. Tam więc teraz spozieram. Witaj dobry mieczu! Twoje uderzenie pa-uje mnie na rycerza niebios. Witaj czcigodny mieczu! Kwiatki czerwone zaległy na tobie, a z nich uplotą dla mnie wieniec dziewice Nieba. Witaj nadobny mieczu! Ty purpurą farbujesz szaty moje, abym znalazł miejsce na godach weselnych. Witaj luby mieczu! Tak miło, słodko spoglądasz, słodce się w tobie zwierciadli, jakbyś mi chciał powiedzieć: nie bój się! Nie, ja się nie lękam, nie boję. Miecz też zsyła mi Pan mój i wódz mój, abym go nosił za nagrodę na cześć Jego, bom się spotykał pod jego chorągwią. Zawitaj kochany mieczu!

Właśnie w modlitwie pogrążon siedział sobie Michał, gdy się naraz drzwi otworzyły i nadobna dziewczeczka weszła, ku niemu bieży, do nóg mu pada i z radością i boleścią zarazem woła:

— Mój ojcie, mój drogi ojcie!

Była to Michała jedenastoletnia córeczka.

Zdumiony zapytał ją ojciec:

— Zkąd tu ty moje dziecko?

— Ojcie, jam pragnęła jeszcze raz ciebie widzieć, nim pójdiesz do nieba, jeszcze raz wynurzyć ci mą miłość, pragnęłam Twego błogosławieństwa. Ojcie, daruj!... wyszłam z domu potajemnie, moje do ciebie przywiązanie nie dało mi żadnego spokoju, a matka by mi wzbronila. Tylko Thang-Tuam, brat mój ukochany wie o tem; byłby przyszedł zemną, alem nie pozwoliła, by się matka o niego nie troskała; byłoby też zresztą dla niego za daleko. Każę cię on pozdrowić i prosi, abyś się o nas nie kłopotał, bo Ojciec w Niebieszech będzie Ojcem naszym, a Marya drugą matką naszą. Oto i ja proszę, Synek twój przysyła ci krzążyk, który potajemnie sam zrobił. Zechciej go, ojcie, nosić na pamiątkę i nań spojrzeć, gdybyś był smutny.

— Dobrze, moje dziecko, bardzo dobrze. Jakżeś się mogła odważyć tu dotąd sama? Czyś się nie bała żołnierzy na straży będących?

— Przedostałam się bez obawy i bojaźni, a gdy mnie pytali, com ja za jedna i po co tu idę, odpowiedziałam: jestem córką uwięzionego Mi, idę do nie-

szczęśliwego mego ojca, puście mnie, dobrzy ludzie i nie czyńcie mi nic złego, a wtedy puścili mnie, rozmawiając grzecznie i uprzejmie. Tak tu przybyłam.

— A matka czy smutna, jak się mają malcy? — pytał dalej ojciec.

— Matka, co prawda smutna, ale się niczego nie boi. Codzień modlimy się za ojca i dziadka, aby mężny stawiali opór i nie postradali Nieba.

Oo usłyszawszy Michał, padł na kolana i tak się modlił:

— Dzięki Ci, Ojcie niebieski, za taką rodzinę!

— Ojczulku, czemuż twarz twoja taka blada, a ręce tak czerwone? Czy ci mężowie owi co złego wyrządzili?

— Dziecię moje, ty moja pociecho! Tą miłością, którą mnie darzysz, podwójnie obajpuj matkę i bądź jej pociechą po wszystkie dni jej żywota. Wtedy tak czynić będziesz, jak sobie ojciec twój życzy. Bądź zawsze wierna twemu Zbawicielowi, chroń cnotę jak najdroższego klejnotu, a twą św. wiarę przekładaj nade wszystkie starby całego świata. A jak oczy twoje kapać się będą we łzach, wtedy rzuć się w objęcia Jezusowe. Teraz, drogie dziecko, wracaj, aby się o ciebie nie kłopotala matka i nie smuć się, bo ojciec twój nie jest nieszczęśliwy, on swej świętej wiary nigdy się nie zaprze. Wnet zostanę Aniołem, jeśli Bóg Wszechmogący pozwoli, a chrzest ze krwi mnie oczyści. Wtedy będziem zupełnie szczęśliwi, wtedy zawsze będę przy tobie, kochane dziecko i przy was wszystkich.

Córka upadła ojcu do nóg, ucałowała jego ręce, nogi i kajdany, nie mogąc się z nim rozstać. Ojciec przycisnął ją do serca, położył ręce na głowę jej, otarł łzy, a dziewczynka odeszła wreszcie w milczeniu.

Noc zapadła. Po cichuteńku weszła pewna postać do Michała, a znany głos tak się odezwał:

— Mój bracie, przychodzę do ciebie z łaską i wiatkiem, który ci na jutrzejszą podróż potrzebny.

Michał rzucił się zaraz na kolana, uderzył się w piersi, z największą mówiąc pokorą:

— Paniel nie jestem godzien, abyś wszedł do przybytku serca mego, ale rzeknij tylko słowo a będzie zbawiona dusza moja. O jakże szczęśliwy! Ostatnie moje życzenia spełnione.

Wyspowiadał się z grzechów przed anamickim kapłanem i w najgłębszej pokorze posilił się chlebem aniołów, chlebem żywota.

I Antoni Dich dostąpił tego samego szczęścia,

— Błogo mi i słodko, — zawołał — takim pokarmem posilon, jak Elias, dostanę się na górę, na stromą górę, na górę Gulgota.

Kapłanowi Nam nadarzyła się sposobność, że te boskie tajemnice z rąk europejskiego otrzymał kapłana.

## VIII.

Dniało, gdy żołnierze prowadzili męczenników z więzienia.

— Już ostatnia walka, wnet będzie zwycięstwo nasze. Idźmy za Jerusem! Tylko odważnie, towarzysze moi, — rzekł Michał. — Jest mi, jakby nowa siła wstąpiła w stare kości moje, jakby krew młodzieńcza krążyła po żyłach.

— Nie lękam się, — przemówił starzec — dziś obchodzimy dzień uroczysty, nadobny. I dniem do domu Pana. Już słyszysz niebieskie pienia, hymny chórów aniełskich. Widzę światło gorejące na złotym ołtarzu, światło świata, światło odwieczne, a słońce nasze, to oblicze Boga. Błogo nam.



— Idziem na gody mójac szaty godowe, purpurowa odzież okrywa nasze członki, nasze drogocenne kamienie błyszczą i lampę mamy w ręku. Zapukamy do bramy, a oblubieniec otworzy ją nam, bo mamy szaty godowe, szaty purpurową, którą on nosił. Znajdziem miejsce u stołu jego. — Tak mówił kapłan.

— Idziem w świętym pochodzie, w procesyi, krzyż przed nami i my wielbim krzyż, modlim się do Ukrzyżowanego i kadzidło i palmy Mu dajem w ofierze. Chorągwie powiewają i wiodą do zwycięstwa, a Pan wśród nas, co walczy z nami. Idziem na jego górę, wstępujemy na górę oliwną, dalej na Golgotę, a wreszcie do Nęba.

Tędy starszek podnosząc swój głos rzekł:

— U bram czekają na nas wysłańcy Pana, nasi bracia w purpurze, nasze siostry w bieli z liliami, niosąc palmy, wołają: Witamy was, bracia! Wnijdźcie otwartą bramą! Tam Pan Zastępów da nam palmę, upadniem i upokorzym się przed jego Tronem i będziemy oglądali słońce duchów, co nas oświeca, ogrzewa.

Daremnie broniono ludowi przystępu, aby nie patrzeć na tryumf tych bohaterów wiary i nie sławić ich męstwa.

Wtedy słyszeć się dały następnie głosy wśród tłumu:

— Idą jak rycerze, jakby szli na gody, na ucztę jaką. To wielcy mętownie. Nie wiedzą, co boją się.

— Nic sobie nie robią z dybów, różg i miecza, zapewne wstąpił Pan z Nęba w ich serca.

— Oni mają chleb cudów, a gdy nim się posilą, nie boją się niczego, nie ich od wiary oderwać nie może. Trzeba chrześcijaństwa przyjąć, bo religia, która takiego męstwa udziela, gardzi śmiercią, zniewala do czci i uwielbienia.

— Munch-Mench, — szepnął inny — podobien do drzewa Bohorupa, kto w cieniu jego przebywa, zginię zabity wyziewami jego, jakby go jadowity wąż ukąsił.

— To głupcy, — mówili inni. — Bezrozumne zwierzęta cenią wartość ich życia; łania uchodzi przed strzelcem, ptak ulatuje zwietrywszy siła; kurczęta kryją się pod skrzydła swej kury, dostrzegłszy jastrzębia, tem bardziej powinien człowiek cenić życie.

— Z królami wojować, to niebezpieczna sprawa.

— Śmierć jest zbrodni nagrodą, a sprzeciwianie się woli króla obrażają majestatu.

— Oby tylko takich mieć zbrodniarzy — mówili inni.

— Żal mi tego męta bohatera siwizną pokrytego, i drugiego o tych delikatnych rysach. Pierwszy filarem sprawiedliwości, drugi ojcem biednych sierót, a trzeci zdaje się być nadziemską istotą.

— Jeszcze dla was ratunek, zdepcie krzyż.

— Pędźcie świat zaginie, nim to uczynim.

Na słowa te wielu z widzów rzęsiście oklaski wydało.

— Jak kochają swego Boga, jak oni go czczą. Stójcie mężnie, bracia! Aniołowie spoglądają na was z upodobaniem, my za was się modlim. — Szepnęło im kilku chrześcijan wśród tych głosów.

Przybyli nareszcie na plac egzekucyi. Kapłan bez wahania się wstąpił na wzgórek, a Michał prowadził tęścia. Szereg żołnierzy otoczył męczenników. Do Michała rzekł kat:

— Daj mi pięć ligatur, to jednem cięciem zetnę ci kark, byś się nie męczył.

— Zetnij go i stu cięćkami, jeżeli ci się podoba, bylebyś tylko odciął głowę, to mi wystarczy. Ligator, na których w domu nie zbywa, nie otrzymasz, wolę one zostawić ubogim.

Trzy piękne kobierce rozpostarli wielbicieli bohaterów.

Wtem Michał zwracając się do zgromadzonego ludu, rzekł:

— Ziomkowie bracia! Nim usta zastygną, jeszcze słów kilka przemówię do was. Nie mogę się puścić w mą daleką podróż, nie pożegnawszy się wprzód z wami, Bracia kochani. Niech to oko, co wnet zgaśnie, jeszcze chwil kilka na was miłe spogląda. Wy wiecie, że zawsze wysoko cenił prawdę, że jak serce czuło, tak język mówił, a gdy kiedykolwiek miał się rozstać z prawdą, to te usta, co wnet będą martwe, nie kłamałyby teraz przynajmniej. Umieram niewinny, jestem grzesznym człowiekiem, ale na miecz nigdy nie zasłużył. Umieram za wiarę, za sprawę św., umieram chcąc pozostać wiernym moim obowiązkom i dla tej samej przyczyny giną moi towarzysze. Ziemię, którą opuszczam i Nębo, do którego spodziewam się dostać, wzywam na świadki, że chętnie me życie kładę. Wejrzyjcie na mnie, czy twarz zmieszana, czy ręce dygocą, członki drżą i język się jąka? Ale co więcej! patrzcie na tego tu starca! Czy nie wesoła twarz jego? Starość go pochylila, ale nie tchórzostwo. A rysy twarzy tego kapłana czyż są takie jak zbrodniarza, co stoi przed katem? Ale czyż z tego godzi nam się chlubić? Bynajmniej. Chrześcijanina chluba w Panu, i wielbi tylko Boga. Jemu niech będzie cześć i chwala co nam udziela siły i mocy, byśmy mężnie ponieśli śmierć, cześć religii, która was uczy i życiem i śmiercią gardzić. I gdybym miał tysiące dusz, dałbym wszystkie chętnie, gdybym mógł was tak szczęśliwymi uczynić, jakim teraz jestem i jakim być pragnę, gdy miecz przetnie pasmo życia mego. Krew moją poświęciłbym do ostatniej kropli, członki dałbym na najcięższe męki, gdybym was mógł z ciemności zaprowadzić do światła, z nocy śmierci do słońca żywota.

Mandaryn każe mu milczeć, ale lud woła groźnie:

— On mówi dobrze, niech dalej prawi.

Urzędnik na to zezwala, tak więc dalej ciągnął:

— Jak lubo i miłe spoglądać będę z nęba na moją drogą ojczyznę, gdy tu kiedyś kościoły się wzniosą ozdobione znakiem zbawienia; gdy krzyż jako klejnot zdobić będzie pierś każdego Tonkina; gdy zabrzmia pienia na cześć Ukrzyżowanego; gdy słońce prawdy wnijdzie nad tym nieszczęśliwym krajem rozproszysz zimną i ponurą mgłę cudowny, cnót zasiew rozwijając; gdy się wszyscy jako bracia uściskają; gdy bogacz z ubogim chleb podzieli pomny, żeśmy wszyscy dziećmi jednego Ojca Niesieskiego; gdy szlachetna dziewczyna nędzarza i żebraka rany opatrzy, czuwając jak anioł przy jego postanieniu!

Jeszcze rzęsiście oklaski. Mandaryn rozkazuje po drugi raz milczenie, ale lud jeszcze głośniejsze woła:

— On nas kocha, chce się z nami pożegnać, a tego mu nikt niech nie broni. Prawi jak mędrzec chiński, niechże dokończy.

— Bracia moi, — mówi Michał dalej — współwyznawcy tejże samej świętej wiary, zaklinam was na te rany, które w tej walce odebrałem, na ten miecz, który zbroczon będzie krwią naszą; zaklinam was na rany Tęgo, któremu w najgłębszej pokorze godzę się nie jestem nóg ucałować; zaklinam was na krzyż, zroszony krwią naszego dobroczyńcy, waszego Zbawiciela, wy-



trwajcie w waszej wierze, nie zapierajcie się Boga waszego, szanujcie krzyż! Patrzcie na nas! Dla Boga umrzeć jest lekko, słodką korzyścią. A teraz dobranoc, bracia moi! Ostatnie me słowo: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus w życiu i w śmierci, wśród pogody i burzy, w pałacu i w więzieniu, w czasie i w wieczności.

Ogólny podziw, rzewne rozczulenie i wpływ ogromny wywarła ta mowa. Powstał szmer, jakoby uwolnić chciano tych bohaterów. Potrójne koło żołnierzy otoczyło skazanych. Mandaryn zaś, któremu spełnienie wyroku poruczone było, rzekł z drżeniem:

— Wiemy, żeście na śmierć sobie nie zasłużyli i radziłyśmy was oswobodzili, ale króla rozkaz jest koniecznością. Tęgo nam za zbrodnię nie poczytujcie. Nie domagajcie się u Boga waszego pomocy na nas.

— Chrystus Pan modlił się za swe krzyżowniki, a Szczepan za kamienujących. Niech P. Bóg będzie wam miłościw, niech wam da prawo uznanie, nie pomstuję na was, lecz błogosławimy was modląc się za was, — rzekł kapłan.

Teraz trzech męczenników uściskało się, a kapłan udzielił im ostatnie błogosławieństwo. Ukłękli z twarzą na zachód, ztąd przyszło zbawienie świata, przeżegnali się do modlitwy, straszna nastąpiła cisza grobowa. Dano znak, a po kilku chwilach trzej męczennicy już w niebie. Słychać głosy polutowania. Tłum ludu przedziera się przez ściśnione szeregi żołnierzy, którzy daremnie szablami płazują nie mogąc powstrzymać natłoku. Toczy się walka o relikwie świętych; każdy pragnie posiadać po nich pamiątkę; kaci zaś opowiadają, że w chwili ciosu przecudowną uczuli woń.

Ciała męczenników odprowadzili chrześcijanie do Vin-Fri, pięć mil od Vi-Hoang. Pochód nocny był prawdziwym tryumfem, do którego się kilka set Chrześcijan przylączyło bez najmniejszej trwogi dając folę czci i uwielbienia. Trzy tablice, na których był wryty wyrok, niesiono jako trofea. Pochodnie oświećtały drogę, którą szły te trzy tabory. Stoły gwoli pokrzepienia niesących te drogi szczątki zastawiano po drodze, a we Vin-Fri odbył się uroczysty pogrzeb. Michała małżonka od każdego żalowana, od każdego czczona kłęczała z dwójgiem dziatek u grobu ukochanych.

Ośmioro Dicha dzieci dało świetną pogrzebową ucztę. Niejeden kapłan odprawił z narażeniem życia w samotnej bambusowej chatce najświętszą ofiarę, a dziś każdy Tonkin przechodząc około kurhanu z uszanowaniem odkrywa głowę.

A gdy nie długo potem nieszczęście jakie nawiedziło tę okolicę, gdzie krew niewinnych wylano; gdy albo trąba morska, albo oberwanie chmur, albo straszny orkan, albo wylew rozhukanego morza ogromne zrzędał zniszczenia, mówili wtedy mieszkańcy:

— Krew sprawiedliwych woła z ziemi o pomstę do nieba!

## DWIE WIOSKI.

(Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA.)

(Dokończenie).

Młoda wdowa nic ze swej tęsknoty nie utraciła, wdzięki jej nabrały jeszcze większego uroku; czarne oko rzuciło blask mocniejszy z pod brwi czarnej, na licach białych wykwiłał słuczny rumieniec.

Nie kochając Józwy, popłakała trochę, pomodliła się za jego duszę, ale równie swobodnie odetchnęła całą piersią jak Piotr, któremu duszę oddawna oddała.

Była właśnie Niedziela i już poobiedna godzina. W małym ogródku stary Socha odpoczywał pod cieniem starej gruszy. Katarzyna z matką siedząc w pobliżu na zielonej murawie, rozmawiały o przygodach biednego Józwy, gdy zatętniało podwórze i na rzeźwym gniadoszu ukazał się Jodłak. Socha uśmiechnął się radośnie, matka dojrawszy jeźdźcę, spojrzała na córkę, która lekki krzyk zadziwienia wydała i skramiała by wiśnią.

Piotr dojrzał całą rodzinę w ogródku, otworzył małe wrotka, a przywiązawszy gniadosza do płota, z bijącym sercem zbliżył się, pokłonił starym czapką, a Kasię podał rękę i uścisnął.

— No! siadajcie sąsiedzie, — rzekł Socha — jakże tam u was w Woli?

— Postaremu, nic dobrego.

— Rozgoście się Piotrze, przemówiła nieśmiało Kasia, konia wezmą do obórki, a ja mu dam siano i podsypię owsa.

Jodłak rozweselony przyjęciem tak uroczynem, bawił do północy. Już pierwsze kury piał, kiedy opuszczał chatę Sochy.

Odtąd co święto, co Niedziela odwiedzał Wulkę; stare we wsi kumoszki kiwały głowami i mówiły między sobą:

Co Bóg połączy, człowiek nie rozłączy. Ot wydali Kasię za Józwę, a taki w zapusty pewnikiem pojedzie za Jodłaka.

Przepowiednie te ziściły się, bo w zapusty proboszcz miejscowy pobłogosławił tej dorodnej parze. Po trzech dniach sutego wesela w chacie Sochów, Jodłak zabrał żonę na swoje gospodarstwo czynszowe i wywiozł zagranicę.

Niedaremnie na wysokim dębie przy domu Jodłaka gnieździły się bociany, dawniej u nas brane za godło szczęścia i pomyślnej doli. Bo od chwili, gdy stara kuma przyjęła na progu chlebem i solą Katarzynę z Piotrem, jakby anioł zażegnał, doznawali prawdziwego szczęścia i radości. Piotr jednak po śmierci rodziców objął osadę czynszową z włóki (60 jutrzyn) gruntu, zabudowaną starannie, z dostatnim inwentarzem, a nie brakło i gotówki. Trzysta z górą talarów rodzic mu umierając, doręczył. Przez pracę i gospodarność nie utracił z tego, ale przymnożył rok rocznie. Teraz nie pożądał grosza, byleby tylko radował ukochaną Katarzynę. Przeszła zima, wiosna i lato, w pierwszej połowie Października Jodłak sute wyprawił chrzczyny: urodził mu się syn, któremu dał imię dziada Szymona. Starzec z żoną płakali, witając dorodnego i czerstwego wnuczka. Z Woli zaproszonych było kilku sąsiadów, a z Wulki cała prawie wieś przybyła. Nie odmówili i oboje Gólowie. Wesela ochota trwała przez całą noc.

Kiedy Wulka prawie opustoszała, bo wszystko wyległo na chrzczyny małego Jodłaka, wysadzana drogą wierzbami do wsi postępował jakiś wędrownik z torbą na plecach, w starym wyszarzanym żołnierskim płaszczu, wysokiego wzrostu, silnie zbudowany, ale widać słaby, zmęczony i kulejący na nogę. dla czego podpiekał się grubym sękatym kijem. Pod figurą, na której była cała męka Pańska, stanął chwilę, uchylił nieco furatki, i szedł dalej ścieżką prosto wiodącą do chaty Gólow. Snać, że znał dobrze tę drogę.



Przed chatą siedział parobek właśnie starego Gila, paląc fajkę, gdy wędrownik nie powitawszy go zwykłym pozdrowieniem, zapytał surowo:

— A czy są starzy gospodarze?

Parobczak spojrział niechętnie na rosnącego jakby żebraka, i odrzekł:

— Niema.

— A gdzie poszli? — pytał znowu siadając na ławie pod okapem chaty.

— Poszli na chrzciny do Jodłaków.

— To Piotrek się ożenił, a z kimże to, powiedzta.

— A z kim się mieli żenić, jużci z wdową po Józwie Gilu, z wdową Katarzyną.

Wędrownik spojrział na parobczaka obłądnym wzrokiem, kij wypuścił z ręki, zbłądł i długo słowa nie mógł wydobyć z piersi.

— To Józwa zginął na wojnie? — rzekł po chwili.

— Poptakali po nim i zapomnieli.

Pokiwał głową smutnie, a potem zwracając się do parobczaka, rzekł:

— Dajcie mi co jeść, bom głodny i zmęczony. Tu poczekam na starych Gilów.

I dostawszy miskę kartofli z mlekiem, spożył je ze smakiem, powłókł się do stodoły i w sianie prędko zasnął.

Nad ranem dopiero zaproszona drużyna na chrzciny, opuściła gościnny domek Jodłaków. Piotr po krótkim spoczynku, wybierał się z pługiem na rolę, ale wprzód jak zwykle przyszedł się pożegnać z żoną i uściskać syna; dziecko w kołysce uśmiecnięte, patrzyło nań czaruemi oczyma, matka słaba jeszcze i zmęczona podejmowaniem licznych gości, spoczywała snem twardym. Piotr ucałował z rozrzewnieniem dziecinę, a nie przerywając spoczynku Katarzynie, popatrzył na nią chwilę, zrobił znak krzyża świętego, jakby zażegnał wszystko złe od niej, i poszedł do pracy.

Słońce już się wzniosło wysoko, kiedy zorał pierwsze skiby; jakaś nieznana troska zaczęła go niepokoić. Ręce mu omdlewały, zatrzymał więc woły na miedzy i usiadł pod wierzbą w smutnej zadumie. W tej właśnie chwili postyszał śpieszne kroki, a w biegnącym poznał Janka parobczaka od Gilów. Był to ten sam, co wczoraj spotkał się w Wulce z wędrownikiem nieznanym.

Janko, przyjaciel Jodłaka, usiadł przy nim pomieszany i blady; odpocząwszy nieco, zaczął mu opowiadać jakąś wiadomość zcicha. Na pierwsze słowa Piotr zerwał się z pod wierzby, załamał ręce z rozpaczą, i wyzłochał rzewliwym płaczem, wołając tylko:

— O, dolo moja nieszczęśliwa! co ja biedak zrobię teraz!

Janko dzielił boleść swego przyjaciela, sam mu dać żadnej rady nie umiał, mówił więc, płacząc razem:

— Ale mój Piotrze, może się znajdzie ratunek... tylko żonie nie mówciez zaraz; kobiecisko jeszcze słabe, jak się dowie, to i śmierć pewna.

Wieść, którą przyniósł Jodłakowi, była straszną. Józwa Gil miany za poległego w bitwie powrócił ranami okryty i uwolniony z wojska, oświadczył rodzincom swoim, że pójdzie i odbierze Katarzynę jako mający pierwsze prawo przed Piotrem. Podśluchał tej rozmowy Janko i przekradłszy się przez granicę, przybiegł ostrzedz o tem Jodłaka.

Nazajutrz cała wieść była w wielkim ruchu na wieść o powrocie Józwy. Wiadomość ta, jak piorun uderzyła starych Sochów. Szymon jakby skamieniał,

stał nieruchomy w pasiece swojej, żona jego rzewnym zawodziła płaczem.

Młode bociany z gniazda dębowego, z ponad chaty Jodłaków wybierały się ze starami do odlotu w dalekie kraje. Był to dzień sobotni, słońce pięknie świeciło, cudna pogoda radowała wszystkich, ale jej nie było w duszy biednego Piotra. Chodził po radę do proboszcza i smutniejszy jeszcze wrócił. Zdobywał się na odwagę, ażeby Katarzynie donieść tę wieść straszną dla niej.

Na łączce malej ponad strugą zbierała się gromada bocianów coraz większa; młode bociany wychowane na dębie Jodłaka, zleciely, zaklekotały z gniazda i połączyły się z innemi. Niedługo zerwały się na skrzydła, i długim sznurem powędrowały w cieplejsze kraje.

Piotr patrzył na nie osłupiałym wzrokiem, powłókł za odlatującymi oczyma zażawionemi i przemówił:

— I wy mnie opuszczacie, jak mnie moja dola szczęśliwa opuściła?

Powłókł się do chaty, ale zaledwie stanął na progu, gdy Katarzyna dojrawszy jego pomieszanie i bladłość, zerwała się od kołyski dziecięcia, przybiegła do niego, a chwytając za rękę, pyta:

— Co ci to, Piotrze? siadź, odpocznij.

Nie będziemy opisywali rozpaczki Katarzyny, gdy mąż jej doniósł o powrocie Józwy. Nieszczęśliwa kobieta stała długo bezprzytomna, a gdy się upamiętała, padła krzyżem przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej.

### III.

W dziesięć dni później, Józwa Gil otrzymawszy kartę przejścia przez granicę, przybrany w nową sukmanę, odpocząwszy dobrze w chacie rodziców, chodząc kulejąc, żwawym dochodził krokiem do domostwa Piotra.

Nieszczęśliwi małonkowie już go się spodziewali, bo Janek przybiegł wcześniej z wiadomością, że już idzie.

Podanie ludowe morową zarazę przedstawia nam w postaci niewiasty, co krwawą chustą powiewa i śmierć zadaje; z jaką trwogą oczekiwano tej zarazy, z taką samą czekali nieszczęśliwi Jodłakowie przybycia Józwy.

Piotr siedział na ławie przed domem ze spuszczoną głową na pierśiach, Janek stał przy nim. Katarzyna kłęzała w chacie przed obrazem Matki Boskiej.

Kiedy usłyszała głos znany Józwy, zadrżała na całym ciele i padła bezprzytomna.

Jodłak zdobył się na siłę, że powitał wchodzącego, który usiadłszy obok niego na ławie, przemówił stanowczym głosem:

— Przyszedłem do was Piotrze po moją kobietę; ona musi pójść za mną, bo ja mam prawo za sobą.

Piotr słowa nie odrzekł, powstał i wszedł do domu, ale ujrzawszy bezprzytomną Katarzynę na ziemi, krzyknął na Janka, aby mu w pomoc przybył. We dwóch podnieśli omdlałą i gdy ją dźwigali, stanął na progu Józwa: oczy mu się zaiskrzyły z gniewu czy z uczucia, ale głosu nie mógł dobyć, tylko pokiwał głową, patrząc, jak przenosili żonę do ubocznego alkierza. Nie poszedł dalej, ale zawrócił się usiadł napowrót przed domem.

Piotr wyszedł niedługo blady i drżący od wzruszenia.



— Stuchajcie Józwa... odstąpcie Katarzyny, a co mam gotówki trzysta talarów, srebrnem wam wypłacę, i rozwiązał worek, a błyszczący pieniądz uderzył oczy Józwy. Spojrzał dosyć łakomie na srebro, ale po chwili odwrócił głowę i odrzekł:

— Nie chcę.

Piotr powstał, przeszedł się kilka razy, a stanął przed nim, zawołał zmienionym głosem:

— Nie chcesz? no to weź i pieniądze i całe gospodarstwo, co wartuje przeszło trzy tysiące talarów, a zostaw mi Katarzynę.

Józwa spojrzawszy po domostwie, zabudowaniach, rzucił oczyma na pola, okalające i łakę, myślał chwilę, a potem odrzekł:

— Nie chcę! Ja przyszedłem po moją kobietę.

— Czy ty wiesz, że ona cię nie kocha, nie lubi, żeśmy się miłowali zanim ty ją zabrałeś? Józwa! — zawołał Piotr z płaczem, padając na kolana, — weź wszystko, a zostaw mi Katarzynę. Pójdę z torbą, ale wyżywię ją i syna.

Gł na te słowa powstał, spojrzawszy ponuro na kłęczącego Piotra i przemówił:

— Nie chcę ani twoich pieniędzy, ani twego gospodarstwa. Odchodzę, bo słaba i zabrać jej nie mogę, ale za tydzień niech będzie gotowa, bo przyjadę po nią i zabiorę.

To powiedziawszy, ruszył gościńcem napowrót do Wulki.

Katarzyna nazajutrz powstała na nogi, już wiedziała o wszystkim. Zmieniła się do niepoznania. Znikł rumieniec, zagaś blask oka, ręce jej drżały, nie mogła długo utrzymać się na nogach.

Noce całe wśród bezsenności przepędzali oboje nieszczęśliwi małżonkowie przed chatą na rozmowie. Katarzyna polecała Piotrowi czuwanie nad pozostałą dzieciną, przyjęcie mamki, co by wykarmiła to sierotko. Piotr milcząc słuchał i szlochał.

Zbliżył się dzień rozłąki: rano Jodłak zawiózł żonę do kościoła, wysłuchali mszy świętej razem. W godzinę po powrocie zajechał bryczką Józwa na podwórze.

Spojrzała nań Katarzyna i dreszcz ją śmiertelny przejął, oblicze jego zawsze niedorodne nabrało teraz ohydneho wyrazu.

— Zabierajcie się co żywo, bo nie mam czasu, trzeba wracać doma.

Katarzyna z płaczem rzuciła się w objęcie Piotra, Józwa ponuro patrzył na te oznaki prawdziwego przywiązania biednej kobiety. Kmotra w tę chwilę wyniosła dziecinę. Z krzykiem rozpacz poskoczyła ku chłopczynie, co z uśmiechem wyciągnęła rączkę do matki. — Katarzyno moja! — zawołał z rozpaczą Piotr wskazując Józwę, — ten to nie człowiek, bo on nie ma Boga w sercu!

Ale w tej chwili nieszczęśliwa matka zaledwie pocałowała dziecinę i oddała kobiecie, padła martwa na ziemię: serce jej z żalu pękło!

## HUMOR CYGANÓW.

Pewnego dnia w straszny mróz przyszedł do pewnego gospodarza zmarły i głodny cygan i prosił o ogrzanie i pożywienie. Gospodarz rzekł: Ho, ho, bratku, tego za wiele; jedno tylko możesz dostać, albo

wolno ci się ogrzać, a nic do jedzenia nie dostaniesz, albo też dostaniesz jadła, a nie wolno ci się ogrzać: Wybieraj tedy, co chcesz? Na to cygan: Dajcie mi tedy panie gospodarzu, kawałek surowego mięsa, które sobie sam przy ogniu przypiekę.

\* \*

Do innego cygana odezwał się kat przed ścięciem: Bądź grzecznym, cyganie, abym mógł mój obowiązek dobrze wykonać; ścinam dziś po raz pierwszy. A dobrze, odrzekł cygan, i mnie ścinają po raz pierwszy, więc musimy się obydwa starać o to, aby porządnie i dobrze swoje zrobić.

\* \*

Pewien cygan przyszedł do szynku, gdzie siedziało grono wesółych ludzi przy winie. Jeden z nich, spostrzegłszy go, zapytał: Pewniebyś też wina chciał pociągnąć? A juści, odrzekł cygan, ale nie mam pieniędzy, a na kredyt mi nie dadzą. A sposobu żadnego nie wiesz? zapytał pan. Wiem, wiem, gdyby tylko który z panów chciał zakład zemną zrobić. Ja się z tobą założę, ale o co? Ja twierdząc, że pan nie jest w stanie sam ściągnąć surduta. O? Jaby sam surduta nie miał umieć ściągnąć? Dobrze, zakład stoi, a teraz patrz! tu począł surdut zdejmować i wnet trzymał go w ręku. W tym samym czasie jednak zdjął cygan także i swój surdut i również go trzymał w ręku. Przegrałeś, cyganie, rzecze pan. Nie przegrałem, odrzekł cygan, bo i ja przecie surdut zdjąłem, więc pan sam surduta nie ściągnął. I wygrał.

\* \*

Razu pewnego była uciecha u pewnego państwa, na której przygrywała cygańska kapela. Usadzono muzykantów w przedpokju i poczęły się tańce. W czasie pauzy ogląda się jeden z nich i widzi, że za piecem stoi butelka, patrzy lepiej, na etykiecie stoi: „Nordheuser.“ Dalej tedy do butelki a śmieje się w duszy, bo był przekonany, że to, który ze służby skradł butelczynę dla siebie i tu postawił. A teraz my wypijemy. Przykłada butelkę do ust, łykał, oczy jakoś szeroko rozwarł, nie rzekł ani słowa i podał sąsiadowi. W butelce nie było wódki, tylko płynny szuwał, czyli lepiej po polsku, błyszczący od smarowania bótów. Klarnecista łyknął i ledwie mu się język nie złamał od ostrego płynu, ale znowu nic nie mówiąc, podał sąsiadowi, pierwszemu skrzypkowi. O tem wiadano, że gdy chwyci butelkę, to prędzej jej nie popuści, aż jej do dna nie wysuszy. Począł pić, ale dziś nie trzymał się swego zwyczaju i pozostało jeszcze coś w butelce dla cymbalisty, który też rzetelnie całą resztę wypił. Potem spojrzeli wszyscy na siebie, a w końcu rzekł pierwszy do drugich: Nie macie apetytu teraz na szczytkę do butów?

## Z NIWY ŚLĄZKIEJ.

Wiersze Czesł. Lubńskiego.

2 tomy w jednej książce 320 str.

Cena za egzemplarz:

nieoprawny . . . . . 1,00 mk

oprawny . . . . . 1,50 "

eleg. oprawy w płótno 1,80 "

Na porto uprasza się dołączyć

20 fen. — Za nadaniem należy-

tości w znacz. pocz. przesyła od-

wrotnie Wydawnictwo „Kato-

lika“ w Bytomiu G.-Ś.

aller Länder u. Sorten, selbst die gewöhnlichsten, für Denanbildung armer Straben zum Priesterstande. Schöne religiöse Andenten

**Sammelgebrauch Briefmarken**

werden gegeben. — Anfragen u. Sendungen richtet man an Hochw. Herrn Verlag v. „Bestlehen“ 100 Salobstr. Wachen (Rheinland)